

ZA DUŻO WRAŻEŃ

BARTOSZ BIELENIA, AKTOR:

Mama powiedziała, że skoro
tak dobrze mi poszło
w „Małym Księciu”,
to warto zapisać się do kółka
teatralnego. Zacząłem jeździć
na konkursy recytatorskie
i je wygrywać.
Spodobało mi się to wygrywanie.

SPOTYKAMY SIĘ NA KRAKOWSKIM PODGÓRZU, NIE-
daleko Teatru Nowego Proxima, który kilka
dni wcześniej na swoim facebookowym profilu
zachęcał widzów: „Ostatni raz? Być może już ni-
gdy nie zobaczymy Bartosza Bieleni na krakow-
skiej scenie. Trzymamy kciuki za oscarową ka-
rierę kolegi i ostatkiem miejsc zapraszamy na
»Dług« Jana Klaty z Bartoszem 15 i 16 stycznia
o 18.00”.

BARTOSZ BIELENIA: Zrobimy ze znajomym zdjęcie
na tyłach kamienicy i możemy zaczynać. (*Wraca
po kilku minutach*)

Wycięli dąb. Stary był, piękny. Podobno korze-
nie zagrażały fundamentom. Podobno...

ANNA GOC: Sprawdzicie to?

Chyba nie, zresztą, za późno na interwencję.
Przynajmniej dla tego dębu. „Ale jest dużo innych
sposobów, żeby robić coś dobrego” – jak to mówi
Łukasz Simlat w „Bożym Ciele”.

Jeden sposób, Twój?



Nie kupuję nowych rzeczy. Bluzę, którą mam na sobie, dostałem w prezencie, podobnie buty. Spodnie są po Wojtku Kalarusie, skarpetki już nie pamiętam po kim, płaszcz po planie, czapka po innym koledze. W teatrze co chwilę się czymś wymieniamy – ktoś mówi: „nie mam płaszcza na zimę”, ktoś inny: „ja mam dwa, przyniosę ci”.

Ostatnio jedna z koleżanek, z którą gram w „Długu”, opowiedziała nam o umowie, jaką podpisała ze znajomymi – nie kupią żadnej nowej rzeczy w tym roku. Gdybym miał wymienić, ile przybyło mi w ubiegłym, zmieściłbym się w dziesięciu. Nawet prezentów staram się nie kupować. Na Boże Narodzenie nagrałem rodzicom audiobooka „Sklepów cynamonowych”. Schulzem fascynuję się od podstawówki, co to jest za język!

Gdy dostajesz tekst scenariusza – filmowego czy teatralnego – przeczuwasz, że nic dobrego z tego nie wyniknie?

Zdarza się.

Rezygnujesz wtedy z roli?

Nie, bo to tylko przecucie, a jaki będzie efekt – tego nigdy nie wiadomo. Tak było z „Bożym Ciałem”.

O!

Zaciekawiła mnie historia głównego bohatera – chłopaka z poprawczaka, który chciał być księdzem, a że z wyrokiem do seminarium nie przyjmują, postanowił udawać księdza. Ale miałem wątpliwości co do scenariusza. Myślałem, że sporo rzeczy zrobiłbym inaczej, niż zakładał. Nie wiedziałem, czy zmiany będą możliwe. Nie znałem scenarzysty, nie pracowałem wcześniej z reżyserem Janem Komasą, ani z operatorem Piotrem Sobocińskim. Już podczas pracy okazało się jednak, że są otwarci, pozwalają wpływać na dramaturgię. Jest na przykład scena, w której wezwano mnie do umierającej mieszkanki Jaślisk – pani Molińskiej. Idziemy przez wieś z Kościelną, rodzina już

czeka, wpuszczają mnie do jej pokoju, zamykają drzwi, a po chwili ona umiera. To jeden z najważniejszych momentów dla udającego księdza Daniela. W pierwszej wersji scenariusza Molińska przeżyła, zmiany wprowadził już podczas zdjęć Piotr Sobociński.

Byłeś kiedyś przy umierającym człowieku?

Nie, i bardzo bałem się tej sceny. Dla mojego bohatera to był ważny moment – poczuł, że z udawaniem księdza nie ma żartów. Chodziło o prawdziwy sakrament, i to ostatni. Pamiętam tamten dzień. Jechałem w transporcie na plan i myślałem: „Jak to zrobić... jak to zrobić... Boże, jak to zrobić, żeby naprawdę być przy tej kobiecie, nie zagrać tej sceny?”. Byłem przerażony. Może i dobrze.

Ks. Adam Boniecki opowiedział mi, że wezwano go do umierającej, bardzo cierpiącej młodej kobiety, która miała tylko jedną prośbę: „Niech mi ksiądz powie o Bogu dobrym”. Nie wiedział, co powiedzieć, nie chciał powtarzać znanych frazesów. Od tego momentu jej pytanie mu towarzyszy.

Myślałem potem sporo o tamtej scenie. O tym, że czasem zapominamy, po co nam kapłani. Co nam może dać ich obecność. Ile jest momentów, gdy potrzebujemy takich ludzi.

Takich, którzy przeprowadzą.

Tak. Potrzebujemy ludzi od troski w naszych społecznościach. Czujących, opiekujących się innymi. Niekoniecznie muszą to być księża.

Daniel, którego obecność w bieszczadzkim miasteczku wpływa na całą społeczność, o Kościele – tym instytucjonalnym, jak i tym mistycznym – wie niewiele. W jednym przypomina młodego księdza – do swojej parafii trafia z zamkniętej społeczności – nie seminarium, lecz poprawczaka. Być może dzięki temu jest autentyczny?

Sporo o tym rozmawialiśmy z Jankiem Komasą, gdy spotykaliśmy się z ludźmi w poprawczakach i ich wychowawcami. Czuliśmy klasztorność tych miejsc: usystematyzowany tryb życia, odciecie, niewielkie męskie grupy. W dodatku i klerycy, i wychowankowie zakładów poprawczych trafiają tam, gdy kształtuje się ich osobowość. W tym sensie wychodzący z poprawczaka Daniel mógł w niektórych zachowaniach przypominać kleryka opuszczającego seminarium.

Było coś, co pomogło Ci stworzyć Daniela?

Tę postać stworzyła mi jedna scena. Po wyjściu z poprawczaka Daniel robi pierwsze zakupy za pieniądze, które ukradł z tacy proboszczowi. Katarzyna Jędrzejczyk, rekwizytorka, spytała, co bym sobie za te ukradzione pieniądze kupił. Wybrałem →

BARTOSZ BIELENIA (ur. 1992) jest aktorem filmowym i teatralnym, absolwentem PWST w Krakowie. Zadebiutował w spektaklu „Mały Książę” w Teatrze Dramatycznym w Białymstoku (1999), w latach 2014-17 był aktorem Starego Teatru w Krakowie. Od 2018 r. w Nowym Teatrze w Warszawie. Laureat m.in. Nagrody im. Zbyszka Cybulskiego, Paszportu „Polityki” w kategorii Film, zdobywca prestiżowego wyróżnienia wschodzącej gwiazdy europejskiego kina, które nadaje European Film Promotion. Wystąpił m.in. w filmach „Disco polo” (2015), „Na granicy” (2016) oraz „Boże Ciało” (2019), nominowanym do Oscara w kategorii najlepszy film międzynarodowy (laureatów poznamy 9 lutego).

↳ butelkę wody, paczkę cukierków i papierosy. Jeśli dobrze pamiętam, w filmie nie ma zbliżenia na koszyk z zakupami. Ale to był dla mnie ważny trop – Daniel jest trochę dzieckiem, a trochę dorosłym. Sprawia wrażenie, jakby dawno nie robił zakupów, nie do końca wie, jak się zachować, nie zna za dobrze realiów świata, do którego wrócił. To była najważniejsza intuicja na planie dotycząca Daniela.

Mówisz o Danielu jak o kimś obcym. Nie utożsamiasz się z nim.

Ciekaw jestem, czy to kwestia czasu, który dzieli mnie od tej roli? Ale właściwie chyba nigdy nie mówiłem o nim jak o sobie. Może nawet nie jesteśmy bardzo różni, ale na pewno oddzielni.

Która z zagrzanych postaci czerpie z Ciebie najbardziej?

Blisko mi do bohatera „Na granicy”. Ostatnio nawet odświeżyłem sobie ten film. Zagrałem tam antypatycznego dziecka, który przechodzi przemianę w dorosłego. On i jego młodszy brat wyjeżdżają w Bieszczady z ojcem, żeby jakoś ułożyć sobie po nowemu relacje. Udało mi się ten fatalny moment młodzieńczej pychy mojego bohatera uchwycić. Dużo czerpałem z siebie, ze swoich doświadczeń. Może dlatego nie za bardzo lubię ten film.

Za dużo w nim Ciebie prawdziwego?

Być może. Postać Daniela z „Bożego Ciała” grałem bardziej intuicyjnie. Poza tym Daniel jest trochę naiwny w tym zaufaniu prostemu przykazaniu zostawionemu w Nowym Testamencie „Kochaj bliźniego, jak siebie samego” – pokochaj siebie, żebyś mógł pokochać innego człowieka. Pokochaj, żebyś mógł wybaczyć. Jak ktoś w ciebie kamieniem, ty w niego chlebem.

Coś Was łączy?

Może to, że obaj wąpimy, poszukujemy duchowości. Zresztą nie wiem na pewno, czy Daniel wąpi w instytucję, która nie chce go takim, jaki jest, z jego przeszłością. Czy wierzy? A jeśli wierzy, to w co? Być może zwątpienie pojawia się, gdy wraca do poprawczaka? Grając intuicyjnie, sporo zostawiam do interpretacji widzom. Na przykład w jednej z końcowych scen, gdy wszyscy wstają do modlitwy przed jedzeniem, ja zaczynam jeść. Czułem, że nie mogę zrobić nic innego.



KINO ŚWIAT / MATERIAŁY PRASOWE

Bartosz Bielenia w filmie „Na granicy”, 2016 r.

Jeśli bohater, w którego się wcielasz, niewiele wie o kapłaństwie, Ty też pozwalasz sobie na niewiedzę?

Gdy przygotowywałem się do roli Daniela, tak założyliśmy – mam wiedzieć jak najmniej o tym, co przechodzi człowiek, który zostaje księdzem. Daniel być może nie wie, ile mówi się o pedofilii księży, ani tego, jak się nosić po księżowsku. Zna jednego księdza – Tomasza z poprawczaka, który jest dla niego wzorem. Chłonie każde jego słowo, próbuje go naśladować. Nie jest ukształtowany przez seminarium, nie zdążył się podporządkować żadnej strukturze. I to jest jego siła. Swoim kłamstwem, tym, że udaje księdza, uwalnia się od instytucji.

Podczas weneckiej premiery „Bożego Ciała” przyglądałeś się reakcjom widzów: jakbyś się zastanawiał, któremu księdzu kibicują bardziej – Danielowi, którego Kościół nie chce, czy Tomaszowi, reprezentującemu instytucję, struktury, zasady.

Ta opozycja byłaby możliwa, gdyby nie to, że ks. Tomasz jest z Danielem od początku szczerzy. Nie pozostawia mu złudzeń. „Nie przyjmą cię do seminarium, bo masz wyrok” – mówi wprost. Ale od razu dodaje coś ważnego, zdanie, które już dziś padło: „żeby robić dobro, nie musisz być księdzem”. Jedną z moich ulubionych

scen w „Bożym Ciele” jest ta, kiedy grający ks. Tomasza Łukasz Simlat wpada wściekły do kościoła, gdzie trwają przygotowania do mszy pogrzebnej Daniela. Już wie, że Daniel udaje księdza, ma ochotę dać mu w ryj, ale łapie się na tym, że jest w kościele, więc najpierw klęka w bocznej nawie, a potem biegnie do zakrystii i sprzedaje Danielowi lepa. Ta walka między strukturą, rytuałem a życiem jest w „Bożym Ciele” bardzo intensywna.

Bohaterami filmu są też prawdziwi mieszkańcy Jaślik. Jak reagowali na Ciebie-księdza?

Przyjęli całą ekipę filmową ciepło. Ale jedno mnie zaskoczyło: jak niewiele trzeba, żeby wejść w znaną konwencję komunikacji proboszcz–parafianie.

To znaczy?

Zdarzało się, że niektórzy, trochę żartem, trochę serio, zwracali się do mnie jak do księdza. Wystarczyło założyć sutannę, by mechanizm zadziałał. Wiedzieli, że jestem z ekipy, ale kiedy kupowałem batona w sklepie, mówili „Szczęść Boże”, a ja odpowiadałem. Zobaczyłem też, jakie to trudne być księdzem w parafii. Jaką nagle zyskuje się siłę. Ile jest pokus. I nie mówię tylko o tych fizycznych, z których mój bohater nie potrafi zrezygnować, ale też o duchowych. Łatwo przychodzi myśl: skoro jestem księdzem, znaczy, że

wiem lepiej, co jest dobre. Mam prawo decydować, kto zostanie wywyższony, a kto poniżony.

Kto zasługuje na pogrzeb, a kto nie – o czym decyduje Twój filmowy poprzednik.

Najbardziej czułem to, stając na ambonie. Ambona jest magiczną tubą. Jeśli mówisz stamtąd, ludzie naprawdę słuchają. Gdy ksiądz potrafi zebrać uwagę ludzi, choćby jej część, ma wpływ na ich myśli i wybory. Na ambonie czułem się jak na scenie. Scena ma podobną moc. Tyle że ludzie przychodzący do teatru wiedzą, że to, co się za chwilę wydarzy, będzie tylko propozycją. Że krytyczne podejście do spektaklu jest pożądane. Że mają do tego prawo. O tym, że ksiądz też proponuje nam swoją interpretację tekstu biblijnego – zapominamy.

Są księża, których interpretacja do Ciebie trafia?

Papież Franciszek – cenię go i jestem mu wdzięczny, że zwraca uwagę ludzi na sprawy, wobec których mogliby być sceptyczni. Choć czasem mówi nie moim językiem, np. o „grzechu ekologicznym”, to trafia do mnie to, co robi. Wykorzystuje swój autorytet, by szerzyć dobro. Mówi, że w Kościele wszyscy są mile widziani.

Filmowy Daniel wierzy w moc modlitwy.

Ja też. Jeśli tysiące osób zwracają się wspólnie w modlitwie różańcowej w jakiejś intencji, wysyłają w rzeczywistość słowa, to one się roznoszą falą. Mają moc. Dlatego tak przeraziła mnie akcja „Różaniec do granic” – wykorzystano modlitwę przeciwko innym ludziom. Podobnie działa hejt w internecie.

Recenzje, które ukazały się w prasie europejskiej, nazywały „Boże Ciało” typowo polską opowieścią duchową. Zgadzasz się z tym?

Przez jakiś czas tak mi się wydawało, ale teraz myślę o tej historii, że mogłaby się wydarzyć wszędzie i nigdzie. Prześlizgujemy się po miejscu – bieszczadzkiej wiosce – w którym dzieje się akcja. Skupiamy się na ludziach, na ich twarzach, emocjach. Poza tym, co to znaczy duchowość polska? W Białymstoku, w którym się wychowałem, dużo silniejsza jest duchowość prawosławna. Wielu moich przyjaciół jest prawosławnych, na ich

Na ambonie czułem się jak na scenie.

Scena ma podobną moc. Tyle że ludzie przychodzący do teatru wiedzą, że to, co się za chwilę wydarzy, będzie tylko propozycją.

święta, podobnie jak na nasze, mieliśmy w szkole wolne. Dużo słyszałem o pięknych ceremoniach zaślubin, o niezwykłym śpiewie prawosławnym. Dlatego zacząłem chodzić na nabożeństwa prawosławne, podglądać tę obrzędowość, bardzo mistyczną. Podobała mi się tajemnica, która tam jest.

Mówisz, że miałeś szczęście do otwartego, wspierającego otoczenia. Ale Białystok jest znany i ze swojej brunatnej historii.

Taki Białystok też znam, choć wydaje mi się, że to problem wielu miast. Naszej nauczycielce z liceum, która na języku polskim opowiadała o Żydach, ich kulturze i o tym, że przed wojną Białystok był żydowskim miastem, wybijano w domu szyby. Tylko że ja zawsze powtarzam, że Białystok jest też otwarty. Podobnie jak o Polsce nie powiedziałbym, że jest tęczowa albo homofobiczna: jest i taka, i taka.

Wspomniałeś, że przygotowując się do roli Daniela, odwiedzałeś poprawczaki. O co pytałeś?

Jeździliśmy wspólnie z Jankiem Komasa, rozmawialiśmy więcej z wychowawcami niż z młodzieżą. Pytaliśmy, kim są ci, którzy tu trafiają, skąd przyszli, jak wygląda ich codzienność. Próbowałem sobie wyobrazić, co by było, gdybym w którymś momencie życia trafił gdzie indziej, spotkał innych ludzi. Gdyby moja osobowość odpłynęła i też trafiłbym do poprawczaka. Spędziliśmy w jednym z nich noc. Był nawet pomysł, żeby mnie tam przemycić, zamknąć na kilka dni. Nie zgodziłem się, bo wydawało mi się to złodziejskie: dać się zamknąć z własnej woli, żeby coś przeżyć. Musiałbym kłamać. Wampirzyć na tych, którzy żyli tam naprawdę. A tego nie chciałem.

Gdy ktoś Cię pytał podczas promocji oscarowej „Bożego Ciała”, o czym ten film jest, co odpowiadałeś?

Mówiłem, że to film o miłości. O tym, żeby patrzeć na człowieka, który przychodzi do nas. Nie oceniając go, tylko poznając. Zdarzało się, że rozmawialiśmy o Polsce. Pojawiały się pytania o nasz skręt w prawo. Niektórzy byli w szoku, że są u nas neofaszyści. W kraju, w którym Niemcy wybudowali obozy i który został z bliskością tych miejsc: jak to możliwe, że neofaszyści wychodzą dziś na ulice, mają ochronę policji? W Stanach też mają problem z wrogością, budowaniem murów, i to dosłownych. Opowiadaliśmy, że jak wszyscy mówią o podziałach, obozach, o stadach, to my w „Bożym Ciele” o człowieku, który przychodzi do nas tu i teraz ze swoją historią.

Teatr Dramatyczny w Białymstoku wrzucił kilka dni temu Twoje zdjęcie: siedmiolatka grającego swoją pierwszą rolę w życiu – Małego Księcia.

Tamten czas w teatrze był najlepszym prezentem dla dziecka. Gasło światło, a ja zostawałem sam na mojej włochatej planetce. Byłem mały, a planetka dość wysoka. Na jej powierzchni były trzy wulkany. Pamiętam zapach dymu z dymiaraki, siedzącego w środku planetki pana, który zajmował się sprawami technicznymi w teatrze i w odpowiednim momencie podawał mi różę. Mieliliśmy umówiony system znaków. Potem przechadzałem się, niby w miejscu, oglądałem zachody słońca. Do teatru przynieśli mi nawet mały stołeczek z przedszkola.

Jaka była historia tego castingu?

Powiedziała mi o nim mama koleżanki z przedszkola. Wracaly akurat ze spaceru, przechodząc obok naszego bloku, wstąpiły powiedzieć, że szukają małego blondyna do roli Małego Księcia. Grałem wtedy w koszykówkę, choć mama się upiera, że byłem w piaskownicy.

Jak na sześciolatka wersja mamy bardziej prawdopodobna.

Dalej twierdzę, że grałem w koszykówkę. Próbowałem dorzucić do kosza spod spódnicy. Pamiętam brudne od piłki dłonie. Mieliliśmy starszego kolegę na osiedlu, sąsiada z piętra niżej, który fascynował się koszykówką, więc my wszyscy też się fascynowaliśmy. Nasze podwórko było za małe, żeby zrobić na nim boisko →

→ do piłki nożnej, a jak graliśmy bez boiska, to łamaliśmy plastikowe daszki nad garażami, albo wybijaliśmy szyby w klatkach schodowych. Koszykówka była bezpieczniejsza.

I co mama na pomysł z castingiem?

Zgodziła się od razu. Potem wyznała, że pomyślała: jak mnie nie wezmą, to odwi- dzi mi się raz na zawsze. I będzie spokój.

Pamiętasz tamtą premierę?

Nie, ale pamiętam próby, a później frag- menty kolejnych spektakli, które w mo- jej głowie ułożyły się w jedno wspomnie- nie – jakby to był jeden spektakl, w prze- rwach którego grałem za kulisami z Mo- niką Zaborską w „Amse kadamse flore”.

Pamiętam za to dobrze dzień, kiedy przyszła do mnie mama i powiedziała, że skoro tak dobrze mi poszło w „Małym Księciu”, to chyba nie warto spoczywać na laurach i może bym się zapisał do kółka teatralnego.

Więc muszę oddać rodzicom, że nie tylko odradzali mi aktorstwo, ale był taki moment, że mnie nawet do niego zachę- cali. Blisko naszego domu był młodzie- żowy dom kultury, gdzie znaleźliśmy warsztaty teatralne i zajęcia z gitary. Do domów kultury przychodzili ludzie, któ- rzy myśleli o aktorstwie, poznałem tam między innymi Magdę Kolesnik, teraz aktorkę Teatru Powszechnego. Zacząłem jeździć na konkursy recytatorskie i je wy- grywać. Spodobało mi się to wygrywanie.

W międzyczasie okazało się, że Twoim sąsiadem jest Zdzisław Dą- browski, wieloletni reżyser Teatru Polskiego Radia. Przygotowywał Cię do egzaminów?

Przychodziłem do niego raz na jakiś czas, omawialiśmy teksty, uczył mnie krytycznego podejścia. Pod koniec liceum zaczęły się przygotowania do egzaminów na serio.

Oceniał?

Tak. Często. Potem to zmieniło się w przyjaźń. Kiedy miał kłopoty z biod- rem, nosiłem mu zakupy. Stał się człon- kiem naszej rodziny. Poszedłem na egza- miny do Warszawy, Krakowa i Łodzi. Nie przyjęli mnie do Warszawy, dzięki Bogu. Dostałem się do Łodzi i Krakowa, wybra- łem Kraków.

Co Ci dała szkoła teatralna?

Krzysztof Globisz otwierał nam przestrzeń wolności. Ocenę zaczynał zwykle tak: „Robisz to świetnie, w życiu bym tego tak nie zrobił, **ale spróbujmy inaczej**”.

Środowisko. W szkole teatralnej re- żyserowaliśmy się nawzajem, potrafili- śmy się odnieść do jakiegoś wspólnego wyobrażenia tego, co chcemy osiągnąć w spektaklu. Ufaliśmy sobie, że to nasze spojrzenie z zewnątrz ma wartość, że nikt nikogo nie chce skrzywdzić. Ale są też tacy profesorowie, przy których studenci mają poczucie, że dzieje im się krzywda.

O tym się mówi?

Coraz częściej. Studenci uczą się sta- wiać granice. To jest trudne, bo muszą je postawić profesorowi, który jest auto- rytetem – on ma nad tobą władzę, oce- nia cię. Przygotowania do aktorstwa to jest praca w kontakcie z czyjąś opinią na twój temat, zawsze. Niestety, wchodząc na scenę, narażasz się na ocenę. Na temat tego, co robisz, jak wyglądasz, jaki jesteś, po co to robisz.

Idąc do szkoły teatralnej niby wiesz, że tak będzie. Potem wszystko zależy od tego, na jakich profesorów się trafi. Ja miałem szczęście, że pracowałem z do- brymi. Krzysztof Globisz otwierał nam przestrzeń wolności. Ocenę zaczynał zwy- kłe tak: „Robisz to świetnie, w życiu bym tego tak nie zrobił, ale spróbujmy ina- czej”. Jan Peszek uczył nas precyzji i tego, co działa na scenie. Na zajęciach u niego powtarzaliśmy nieraz te same czynno- ści, męcząc się fizycznie i uwalniając się od nas samych. Jedną z dróg pracy z nim było więc zmęczenie, które pozwalało przełamać bariery. Nauczył nas też, że w aktorstwie chodzi o momenty wolno- ści na scenie.

Twoi rodzice są krytycznymi widzami?

O, tak. Sporo rzeczy im się nie podoba: tu ciebie było za mało, tu niepotrzebnie coś zrobiłeś, to mogłeś zachować dla sie- bie, to było trochę nudne. Pamiętam, że z „Hamleta” Krzysztofa Garbaczewskiego

nie wszystko zrozumieli, ale mieli piękne przecucia co do tego spektaklu.

Młodym aktorom wybacz się więcej?

Na pewno, myślę, że będę jeszcze tego doświadczał. Oczekiwania są nieco inne, czasem ktoś powie: „Nie spodziewałem się, że ten młody człowiek przy reszcie da sobie radę”. Mam na to odporność. Zoba- czymy, jaką.

Gdy trafiłeś do Starego Teatru, nazy- wało się Was – kilkoro najmłodszych aktorów – dziećmi Jana Klaty.

Zaufał nam, kiedy jeszcze nikt nam nie ufał. Kłata wziął nas do teatru, dał pracę. Dzięki niemu zagrałem kilkanaście spek- takli w Starym Teatrze u różnych twór- ców. Moje odejście ze Starego było formą protestu wobec zmiany dyrekcji, wobec niezrozumiałej decyzji ministra Piotra Glińskiego, która dziesiątkom osób zmie- niła kilka lat życia. Jestem młody, więc mogłem sobie na to pozwolić.

Wybierasz reżyserów, od których możesz się czegoś nauczyć?

Patrzę na to inaczej: jeśli zaczynam pracę z jakimś reżyserem, czuję się go- ściem w jego świecie. Ten świat na mnie wpływa jak środowisko. Coś we mnie zmienia. Chyba w taki sposób możemy z tego czerpać.

Co jest tak ciekawego w świecie re- żyserskim Charliego Kaufmana, że chciałbyś u niego grać?

Fantazja tego człowieka, jego wrażli- wość, to jak mówi o filmie, o rzeczywi- stości.

W „Anomalisie” jest taka scena roz- stania na korytarzu. Każde z nas do- świadczyło chyba podobnego momentu w swoim życiu: intymności, pożądania, niezręczności. A Kaufman potrafi się nad tak zwykłym momentem zatrzymać, roz- czulić, rozbić go na kawałki. Chciałbym być gościem w świecie Kaufmana. Ale jak na razie dostałem i tak za dużo, i za wcześniej. Czuję się tak, jakby ta nomina- cja do Oscara na nas spadła. Nagle się oka- zuje, że coś zrobiliśmy tak dobrze, że no- minowali to do Oscara. Jak to możliwe? Dlaczego? Aż tak? Staram się to wszystko przetwarzać, wrażeń jest za dużo. Ale po- tem przychodzi też myśl, że każda na- stępna rzecz będzie już trudniejsza.

©® Rozmawiała ANNA GOC